

On mocno trzyma za wodze
i tylko ona może mu pomóc je puścić

Trening uczucie

editio
Red



Ranczo
Srebrzyste Sosny
#2

PAISLEY HOPE

Tytuł oryginału: Training the Heart (Silver Pines Ranch #2)

Tłumaczenie: Edyta Ładuch

ISBN: 978-83-289-2188-7

Copyright © Paisley Hope, 2024

First published as Training the Heart in 2024 by Century, an imprint of Cornerstone. Cornerstone is part of the Penguin Random House group of companies.

No part of this book may be used or reproduced in any manner for the purpose of training artificial intelligence technologies or systems. This work is reserved from text and data mining (Article 4(3) Directive (EU) 2019/790).

Polish edition copyright © 2025 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
editio.pl/user/opinie/trers2

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: *editio@editio.pl*

WWW: *editio.pl* (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- **Kup książkę**
- **Poleć książkę**
- **Oceń książkę**

- **Księgarnia internetowa**
- **Lubię to! » Nasza społeczność**



PROLOG

Wade

Lipiec

Na swoją obronę dodam tylko, że był to najdłuższy *slow burn* w historii. Zwyczajnie straciłam rachubę czasu, a potem był jeszcze ten objazd i...

Schodzę po frontowych schodach dużego domu, podczas gdy ta ożywiona drobna kobieta u mojego boku trajkuje bez przerwy, próbując z przesadną szczegółowością wyjaśnić, dlaczego spóźniła się na swoją rozmowę kwalifikacyjną.

Błądzą wzrokiem po polu, zastanawiając się, o czym ona właściwie gada i czym, do cholery, jest *slow burn*.

Papla i papla, streszczając mi fabułę jakiejś książki, a ja wdycham poranne górskie powietrze Kentucky i wiem, że z pewnością zaraz tego pożałuję, ale chcę po prostu, żeby przeszła do sedna.

– Proszę wyjaśnić – rzucam.

– Co mam wyjaśnić? Co to *slow burn*? Czy jak to się stało, że spóźniłam się przez książkę? – Nie daje mi nawet dojść do głosu. – *Slow burn* to... No wie pan, takie budowanie napięcia prowadzącego do... tych pikantnych momentów w książce...

Pikantnych?

Czeka może z ułamek sekundy, aż coś powiem, a gdy tego nie robię, znów zaczyna głądzić.

– W każdym razie mój ulubiony bohater wreszcie ją pocałował... Bo ten drugi, z którym była, właśnie skończył... No bo oni byli współlokatorami...

Zatrzymuję się gwałtownie i obracam, kompletnie ją zaskakując. Patrzę na nią z miną, z której na bank może wyczytać, że nie mam bladego pojęcia, o czym ona bredzi.

Mruga i na mnie spogląda, uświadamiając sobie w końcu, że chyba ją trochę poniosło, ale z jakiegoś powodu *nie przestaje* gadać.

– Chodzi mi o to, że... Teraz miała być jego kolej, żeby się z nią... – Zawiesza głos i spuszcza wzrok na swoje buty, po czym zaczyna od nowa. – Zresztą nieważne... Jestem już na miejscu, więc później się dowiem, który z nich...

O nie.

– Chryste Panie... Wie pani w ogóle, co to profesjonalizm? – pytam, wchodząc jej w słowo, bo coś mi się zdaje, że rozmowa o książce, która brzmi jak jakiś cholerny erotyk, może zostać uznana za molestowanie seksualne. Chociaż to chyba ja jestem tu ofiarą.

Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, więc uznaję to za znak, by ruszyć dalej.

– Przepraszam za spóźnienie i za marnowanie pańskiego czasu, panie Ashby – odzywa się dużo bardziej profesjonalnym tonem, jakby uznała, że spisałem ją na straty, zanim rozmowa kwalifikacyjna w ogóle się rozpoczęła. I prawdę mówiąc, przed chwilą tak by było.

Zaciskam zęby. To, z jaką rezygnacją wypowiada moje nazwisko, sprawia, że robi mi się trochę głupio. Może moja rodzina ma rację. Wnioskując po tym, jak zestresowana jest ta kobieta, zaczynam myśleć, że może jednak trochę przesadziłem, w końcu spóźniła się zaledwie sześć minut. Sęk w tym, że brakuje mi cierpliwości i jedyne, czego teraz chcę, to przetrwać ten cholerny dzień i odetchnąć po strasznie długim poranku spędzonym z prawnikami i moją byłą żoną, Janelle.

Zatrzymuję się ponownie i już mam się odwrócić, żeby powiedzieć tej małej choleryczce, że zaczniemy od nowa, tym razem na profesjonalnym

poziomie, ale zanim zdążę się odezwać, widzę, że idzie zbyt szybko i nie patrzy przed siebie. Nie zauważa, że przystanęłam, i wpada na mnie z impetem.

– O kurwa... Cholera... Przepraszam – bełkocze, gdy chwytam ją za łokieć, by nie upadła.

– A więc, panno... – Puszczam ją, kiedy odzyskuje równowagę, i staram się za wszelką cenę nie patrzeć w te jej piękne fiołkowe oczy.

– Spencer – rzuca z takim wyrzutem, jakby zapomnienie jej nazwiska było skrajnie nieprofesjonalne. I w sumie ma rację, bo przecież dosłownie pięć minut wcześniej przedstawiła się całej mojej rodzinie.

– A więc, panno Spencer, pozwól sobie przejść od razu do rzeczy. – Odwracam się i ruszam przed siebie, a ona przyspiesza, by dotrzymać mi kroku. Zmierzamy do mojego biura, a gdy mijamy po drodze dwóch pracowników rancza, dosłownie przerywają oni pracę, żeby się na nią pogapić. Kręcę głową z niedowierzaniem, bo wygląda na to, że na moim ranczu pracuje banda pieprzonych napaleńców. – Zależy mi na kimś z doświadczeniem – mówię. – Nawet jeśli to tylko praca na zastępstwo, nie wyobrażam sobie, żeby miejsce Sam miał zająć ktoś niedoświadczony.

Otwieram drzwi biura i wchodzę, a ona podąża tuż za mną. Przechodzę za biurko, tymczasem ona zatrzymuje się naprzeciwko, ubrana w wytarte dżinsy, idealnie dopasowaną czarną koszulkę i równie czarne kowbojki, z rękoma założonymi pod jędrnymi piersiami. Spotykam się z nią spojrzeniem i uświadamiam sobie, że najwyraźniej powiedziałem coś, co cholernie ją wkurzyło.

– Ach, już rozumiem, czyli jest pan jednym z *tych*, tak? Wydaje się panu, że skoro jestem młoda, a do tego jestem kobietą, to z pewnością brak mi doświadczenia? – rzuca, a ja zdejmuję kapelusz i ciskam go na biurko.

Kurwa mać, przecież jestem ostatnią osobą, którą można o coś takiego powiedzieć. Co za pyskata mała...

– Wygląda na to, że najwyraźniej tracę tu tylko czas, spodziewając się po panu czegoś lepszego – dodaje zaczepnie.

Pochyłam się, opierając dłonie na biurku, i mówię do niej stanowczym tonem, żeby dać jej do zrozumienia, że nie bawi mnie jej zadziorność, bo, kurwa, to ja tu rządę, a nie ona.

– To nie ma nic wspólnego z tym, że jest pani kobietą. W tej branży nie brakuje świetnych i szanowanych trenerek. Do cholery, miałyby pani przecież zastąpić inną kobietę.

Jej spojrzenie momentalnie łagodnieje i wygląda na lekko zmieszaną, gdy opuszcza ręce wzdłuż boków.

– Och, założyłam, że skoro ma na imię Sam...

– Samantha – mówię, przerywając jej. – Jeśli będzie się pani kierować założeniami, to z pewnością daleko pani nie zajdzie – dodaję surowo.

Przechesuję dłonią włosy i siadam, opierając się wygodnie na fotelu. Ma w sobie coś zadziornego, to trzeba jej przyznać, a do tego jest prawdopodobnie najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem od... Cholera, od lat. Jest kurewsko piękna. Tak piękna, że mój penis w sekundę stanął na baczność, gdy przerzuciła swoje długie kruczoczarne włosy przez ramię, a jej buty stuknęły o podłogę.

Ivy Spencer. Wpatruję się w nią, nie mając pojęcia, jakim cudem mogłem zapomnieć jej nazwisko.

Idzie w moje ślady i trochę się rozluźnia, siadając naprzeciwko mnie. Biorę głęboki oddech, zanim znów się odezwę. Nie chciałem, żeby ta rozmowa zaczęła się w tak napiętej atmosferze. Nie jestem dupkiem. Mam po prostu chuj rzeczy na głowie i zazwyczaj wyrzucam z siebie słowa przesiąknięte frustracją tylko po to, by przejść do kolejnego zadania na niekończącej się liście obowiązków.

– Proszę posłuchać, jeśli mamy być ze sobą szczerzy, to nie da się ukryć, że jest pani bardzo młoda, co oznacza, że ma pani... Ile, z pięć lat doświadczenia?

Ponownie rozpala się w niej ta iskra. Nie widać tego na jej twarzy. Pięknej, w kształcie serca, z wysokimi kośćmi policzkowymi, smukłym, prostym nosem i pełnymi, różowymi ustami; wszystko w idealnej harmonii. Widać to w jej oczach. To one płoną niespokojnym żarem i każą mi się przymknąć, bo jeśli nie, to zaraz ustawi mnie do pionu. Gdybym nie był dziś tak kurewsko zmęczony, mogłoby mnie to nawet rozbawić.

– Właściwie prawie *piętnaście*, jeśli wliczyć wszystkie godziny stażu. Ale nawet bez tego mogę się pochwalić dyplomem z hipologii na Uniwersytecie Kentucky, zdobytym dzięki pełnemu stypendium, oraz pięcioma latami spędzonymi na ranczu Bellinghamów, gdzie trenowałam konie pełnej krwi angielskiej... – Marszczy brwi, jakby pytała: „Jest pan pod wrażeniem, panie Ashby?” – Trzy lata pracowałam w Centrum Rehabilitacji Koni w Nottingham. A w liceum i podczas studiów odbyłam też cztery letnie staże w Stowarzyszeniu Hodowców Koni Rasy Quarter American i Pełnej Krwi Angielskiej pod okiem Petera Sampsona. – Wspomina znanego trenera, który pomagał szkolić zwycięzcę Potrójnej Korony w dwa tysiące piętnastym.

O cholera.

– Nie wiem, czy ktoś to panu powiedział, ale jeśli będzie się pan kierować założeniami, to z pewnością daleko pan nie zajdzie – dodaje, a jej śliczne usta rozchylają się w niewinnym uśmiechu, co sprawia, że mam ochotę zrobić wiele wysoce niestosownych rzeczy, by zetrzeć go jej z twarzy.

Chrząkam, a ona nieco się odpręża.

– Jestem naprawdę dobra w tym, co robię, i odznaczam się nowoczesnym podejściem, którego, jak się domyślam, tu nie stosujecie, a które mogłoby się wam przydać, zwłaszcza jeśli myśli pan o starcie w kolejnych derbach – oznajmia.

Patrzę na nią, zastanawiając się, czy dałaby radę przejąć wodze po Sam. Piętnaście lat? Czyli pracuje z końmi, odkąd była... dzieckiem? Kręcę głową, próbując odpędzić myśl pytającą o to, dlaczego tak bardzo interesuje mnie jej historia.

Kobieta wstaje i wskazuje na drzwi.

– Oprowdzi mnie pan po ranczu czy ta rozmowa kwalifikacyjna ma polegać na tym, że będzie pan siedział i mnie w ciszy oceniał?

Jej opryskliwy ton sprawia, że na moment opada mi szczeka, ale szybko się ogarniam i wstaję, wkładając kapelusz na głowę.

– Stajnie są z tej strony – rzucam, pospiesznie ją mijając.

Dwadzieścia minut później stoimy przed największym z wybiegów i obserwujemy, jak jeden z naszych trenerów, Dusty, próbuje opanować

nerwowego ogierka. Młodzik jest płochliwy, a nauczanie go, by nie reagował paniką i choć na moment utrzymał uwagę, wydaje się nie lada wyzwaniem.

Ivy bacznie go obserwuje, jakby łączyła ją z tym koniem jakaś telepatyczna więź, i chłonie każdy jego ruch. Ja w tym czasie odpowiadam na pytania trzech pracowników rancza. Z jakiegoś powodu wszyscy nagle uznali, że muszą dziś pracować dokładnie tam, gdzie jestem z Ivy. Jakbym nie wiedział, że stała się dzisiejszą atrakcją.

Jeden z moich pracowników zagaduje Ivy, jakby znali się od lat. Śmieją się, a ja już wiem, że ta kobieta nie może tu pracować. Jest zbyt rozpraszkająca, zbyt czarująca. Ci skurwiele nie zdołają się skupić, jeśli będzie kręcić się w pobliżu, a dla mnie liczy się przede wszystkim produktywność rancza. Ostatnie, czego mi trzeba, to kolejny problem na głowie.

– Jak leci, sierżancie? – zagaja Nash, mój wieloletni przyjaciel, klepiąc mnie po plecach, gdy wraca ze śniadania z moją mamą i siostrą w dużym domu.

– Ech – wzdycham.

– Aż tak dobrze? – Śmieje się. – Nie przyszło ci do głowy, że może jesteś dla niej zbyt surowy? Spóźniła się raptem sześć minut.

– Może masz rację. Jej CV jest całkiem niezłe – przyznaję, obserwując, jak kobieta ściąga palcat treningowy ze ściany i bez pytania wchodzi do zagrody.

Wymieniamy z Nashem zaskoczone spojrzenia i ruszamy za nią, kiedy ta otwiera furtkę, upewniwszy się, że może przez nią bezpiecznie przejść.

– Mogę spróbować? – pyta odważnie Dusty’ego.

Dusty mierzy ją wzrokiem, jakby chciał zapytać: „Kim ty, do cholery, jesteś?”, po czym szeroko się uśmiecha.

– Uparty z niego skurczybyk. Nie daje mi żadnej szansy, żebym go pod siebie ustawił.

Ivy kiwa głową i staje pośrodku wybiegu naprzeciw narwanego ogierka.

– Słyszeliście o programie Parelliego? – rzuca do Dusty’ego i do mnie.

– Nie bardzo – odpowiadam, patrząc, jak przejmuję uwiąz od Dusty’ego. To już nie ta sama kobieta, którą roznosiła wściekłość w moim biurze. Teraz jest spokojna, skupiona i widać, że przy tym niespokojnym koniu czuje się jak ryba w wodzie. Przesuwa dłonią po jego nosie i szepcze coś, czego żadnemu z nas nie udaje się usłyszeć.

– To idea naturalnego jeździectwa, czyli opartego na komunikacji, zrozumieniu i zaufaniu, a nie na strachu, zastraszaniu i przemocy – wyjaśnia, po czym unosi bat treningowy i pozwala, by zwisający z jego końca sznurek opadł na grzbiet konia, a następnie delikatnie go z niego zsuwa. Zwierzę reaguje nerwowo, lecz Ivy nie napina uwiąz, tylko podnosi rękę, dając koniowi więcej przestrzeni.

– Nie tak to tutaj robimy – oznajmiam, opierając się o barierkę i obserwując Ivy, jak się porusza, bo oglądanie tej kobiety w jej żywiole jest wręcz hipnotyzujące.

– Ale dlaczego? Dlaczego kierujecie się przestarzałymi metodami? – pyta.

– Bo od zawsze tak było – odpowiadam jak jakiś debil.

Ivy nie przestaje się poruszać, naprzemiennie przeciągając sznurek po grzbiecie konia i kreśląc nim kółka na ziemi. Za każdym razem, gdy zwierzę się płoszy, szepcze mu coś do ucha, a potem skupia jego uwagę, sunąc sznurkiem po jego boku. I niech mnie piorun trzaśnie, ale po około dziesięciu minutach takiego nieustannego ruchu zwierzę w końcu skupia na niej wzrok i podąża za nią spokojnie przez dobre pół minuty, łagodnie ją okrążając.

– Nauczono mnie, że prawdziwa więź z koniem opiera się na zaufaniu, na które trzeba sobie zasłużyć. Przestarzałe tradycyjne metody treningu zwyczajnie nie działają, bo konie przede wszystkim szukają bezpieczeństwa i ochrony. Jeśli im to zapewnimy, obdarzą nas zaufaniem i zostaną naszymi partnerami, ochnocho reagując na nasze sugestie.

– Jak dla mnie brzmi to jak jakieś hippisowskie bzdury – wypalam bez zastanowienia, na co Nash wbija mi łokieć w żebra. Wygląda na to, że to, co robi Ivy, naprawdę działa. Problem w tym, że nie znoszę się mylić ani tracić kontroli, a teraz dzieje się i jedno, i drugie.

Ivy jeszcze kilkakrotnie oprowadza konia po zagrodzie, trzymając się swojej metody, a gdy dochodzi do wniosku, że już wystarczy, odpina uwiąz i puszcza zwierzę luzem. Po wszystkim podchodzi do mnie, wiska mi bat treningowy w klatkę piersiową, spogląda na mnie swoimi fiołkowymi oczami i mówi:

– Zresztą to pan jest tu szefem, a ja dzielę się tylko tym, co sprawdza się w moim przypadku. Z końmi jest jak z ludźmi, na ich szacunek trzeba sobie zasłużyć, a nie tylko go oczekiwać. Dzięki za rozmowę, z chęcią zastąpię Sam na pana rodzinnym ranczu. – Przechodzi między mną a Nashem, zerka na mnie przez ramię i dodaje z uśmiechem: – O ile nie *założy* pan, że się do tego nie nadaję.

– No nieźle, sierżancie – szepcze Nash. – Coś mi się zdaje, że znalazłeś swoją drugą połówkę.

Krzyżuję ręce na piersi i odprowadzam ją wzrokiem, doskonale wiedząc, że nie tylko będzie sprawiać mi mnóstwo kłopotów, ale też że tak naprawdę... sama się u mnie zatrudniła.



ROZDZIAŁ 1

Wade

Październik

Moje ciało już drży z gotowości, choć mój umysł jeszcze się waha. Chase łapie mnie za kark i wplata palce w moje włosy, gdy jego usta zachłannie pożerają moje...

– Chryste Panie, co to za gówno? – burczę, próbując ściszyć radio w aucie, które nawet do mnie nie należy.

– *Chcę, by padł przede mną na kolana. Chcę, żeby utonął w mojej...*

– Potrzebujesz pomocy, szefie? – Siedząca obok mnie Ivy chichocze, kiedy udaje mi się w końcu znaleźć właściwe pokrętko i przyciszyć jej audiobooka, zanim narratorka doprowadzi nas wszystkich do orgazmu w drodze na ranczo.

– Radzę sobie – odpowiadam, wsuwając dwie wielkie gumki do włosów na dźwignię zmiany biegów, dzięki czemu mogę wrzucić wsteczny w chevroletcie silverado Ivy.

Jakoś mnie nie dziwi, że muszę walczyć z tymi cholernymi gumkami, żeby zrobić coś tak prostego jak prowadzenie auta, bo jestem niemal pewien, że odkąd Ivy pracuje na moim ranczu, a minęły zaledwie trzy miesiące, rozsiała je w każdej możliwej szczelinie naszego biura. Już pierwszego dnia zostawiła na moim biurku jedną z nich, a gdy wróciła, by jej

poszukać, dowiedziałem się, że ten rodzaj miękkich materiałowych gumek do włosów ma swoją nazwę i jest nią *frotka*, a Ivy namiętnie je kolekcjonuje. Każda z nich jest w innym kolorze i ma inny wzór, jakby ta szalona kobieta potrzebowała nagle trzydziestu dwóch zapasowych gumek. Na swoim biurku ma ich całą wieżę, we wszystkich odcieniach tęczy i nie tylko. Są jasne i radosne przez całą dobę, zupełnie jak ich właścicielka.

W sumie to wszystko w Ivy jest niezwykle kobiece i promieniste, łącznie z jej autem, które przyszło mi dziś prowadzić. Z lusterka dynda odświeżacz o zapachu piña colady, a w uchwytach na kubki panuje miszmasz balsamów do ust i kremów do rąk. Urządziła tu sobie istny salon piękności na kółkach.

Jej karmazynowe usta wykrzywiają się w łobuzerskim uśmiechu, gdy jawnie szydę z jej literackiego gustu.

– Taki już los kierowcy babskiego auta. – Ivy się śmieje. – Wiesz przecież, że lubię swoje książki. – Jej duże, migdałowe oczy błyszczą psotą, gdy zakrywa czerwoną sukienkę *moją* marynarką. Oddałem jej ją, gdy powiedziała, że marznie, a obleśny kumpel Cole’a już się szykował, żeby zaoferować jej swoją. To ja odwożę ją do domu, więc to chyba jasne, że ma na sobie moją. – To kolejny z moich sposobów, by grać ci na nerwach, szefie... Myślałeś, że nie robię tego celowo? – Chichocze, gdy kręć głową.

Dobrze wiem, że tak jest. Od jej pierwszego dnia na ranczu sprawda moje granice i raz za razem wytrąca mnie z równowagi. Nie da się jednak ukryć, że zatrudnienie jej na zastępczym stanowisku głównej trenerki było świetną decyzją. Muszę przyznać, że zaimponowała mi podczas rozmowy kwalifikacyjnej, a jej mentor ze stowarzyszenia nie szczędził jej pochwał, gdy zadzwoniłem do niego po referencje.

Pracuję z nią codziennie od ładnych kilku tygodni i dobrze wiem, o czym mówił. Ivy jest genialna. Ma dar do uspokajania koni i nawiązywania z nimi tak niezwyklej więzi, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem. Do tego nigdy nie traci cierpliwości, niezależnie od tego, czy pracuje z najbardziej niesfornymi ogierkami, czy z powolnymi jak ślimaki starymi wierzchowcami.

Ale trzeba też przyznać, że cholernie działa mi na nerwy. Co nie jest oczywiście jej winą, tylko moją, bo z każdym dniem coraz trudniej jest mi ignorować to, że rozbraja mnie swoją urodą, a im lepiej ją poznaję, tym bardziej dociera do mnie, że nie ma zielonego pojęcia, jaka jest śliczna i jak bardzo działa na ludzi swoim zadziornym urokiem. A to oznacza, że nie widzi nic złego w tym, że każdy pracownik rancza, w tym i ja, zrywa się skoro świt, żeby przynieść jej kawę albo odciążyć ją w porannych obowiązkach. Te łajzy nigdy nie przychodziły do pracy przed czasem, a teraz pałętają się po stajni przed pianiem kogutów i są z tego powodu szczęśliwe jak dzieci.

Ivy jest zachwycona, że wszyscy są tu „tacy mili”, jak zdarza jej się powtarzać, co każe mi sądzić, że mimo całego swojego doświadczenia w branży jest jednak trochę naiwna, jeśli chodzi o facetów.

A to sprawia, że nieustannie mam ją na oku, ale też uważam, żeby nie dać się na tym przyłapać. Na razie jakoś mi się to udaje, ale minęło dopiero kilka tygodni i przysięgam, że przez ten czas postarałem się co najmniej o dekadę.

Salutuję mojemu młodszemu bratu Cole’owi przez szybę, wyjeżdżając z parkingu naszego miejskiego baru. Stoi w drzwiach Horse and Barrel i szczerząc się jak głupek, patrzy, jak odjeżdżam autem Ivy.

Dziś robię za jej szofera, bo moja siostra CeCe i jej przyjaciółki wzięły Ivy pod swoje skrzydła, żeby uczcić zaręczyny CeCe w iście *diabelskim* stylu. Co w praktyce oznacza: picie do upadłego i tańczenie do utraty tchu na parkiecie w Horse and Barrel. Więc oto jestem, za kółkiem samochodu z naklejką „Kowbojki chcą się po prostu dobrze zabawić” na zderzaku.

Zerkam na nią i po jej zadowolonym uśmiešku wnioskuję, że myśli, iż jej książka wprowadziła mnie w zakłopotanie.

– Przepraszam, że moja powieść romantyczna sprawiła, że zaróżowiły ci się policzki – mruczy, a w jej tonie nie ma ani krzty skruchy. Rozwiązuje włosy, a ja kątem oka obserwuję, jak opadają falami na jej ramiona.

– Pierwszy lepszy *erotyk* nie ma szans mnie zawstydzić – rzucam.

Ivy momentalnie robi obrażoną minę.

– To romans, nie *erotyk*! I dopiero co się rozkręcał, kiedy podjeżdżałam pod bar. Czekałam cały wieczór, żeby posłuchać dalszego ciągu w drodze do domu. Nie spodziewałam się, że będziesz mnie odwoził. – Parska śmiechem bez cienia zażenowania.

Nie umknęło mi, że nie tylko czyta te książki przy każdej nadarzącej się okazji, ale również jeździ po miasteczku, słuchając dumnie tych erotyków na cały regulator. Jestem za tym, by kobieta czuła się dobrze w swoim ciele i czerpała z seksu jak najwięcej przyjemności, ale że jestem swoim najgorszym wrogiem, szydę z tego, że uważa to za *romans*, i robię to na tyle głośno, że zgarniam za to kuksańca.

Wybuchła śmiechem po zbyt wielu drinkach na cześć zaręczyn Nasha i CeCe.

– No cóż, nie każdy musi być takim zrzędlwym świętoszkiem jak ty, więc wybaczone, że lubię się delektować porządnym romansem – rzuciła z przekąsem.

Wolę się już nie odzywać, bo jestem chyba ostatnią osobą, którą mogłaby posądzić o świętoszkowanie. Tak naprawdę uważam, że w sferze seksu nie powinno być żadnych ograniczeń. Powstrzymywanie się w tym zakresie to istne marnotrawstwo, w końcu to jedyna okazja, żeby w pełni się w czymś zatracić.

A więc... Zrzędlwy? Jasne, bywam. Ale świętoszek to ze mnie, kurwa, marny.

– O nie, nie waż się nawet siedzieć teraz cicho. Dociekliwie umysły chcą wiedzieć, co sprawia, że tak ciężko wzdychasz i robisz te osądzające miny. Masz coś do mojego gustu literackiego? – Rzuciła mi wyzwanie, po czym dodaje: – Mowę ci odjęło?

Przejeżdżam dłonią po twarzy. Nadal nie przywykłem do tej drobnej, zadziornej petardy i tego, z jaką łatwością zachodzi mi za skórę.

– No dalej, wyrzuć to z siebie – mówi, unosząc brew.

Rzucam jej szybkie spojrzenie, po czym znów skupiam się na drodze.

– Jak na moje, to ta książka nie ma, kurwa, nic wspólnego z miłością czy romansem – oznajmiam beznamiętnie, wskazując na radio.

– A właśnie że ma – spiera się ze mną Ivy, udając obrażoną, a następnie dodaje: – Przecież oni ją kochają. Każdy na swój własny sposób.

Oni? Ja pierdolę.

– No dobra, powiedz mi w takim razie, jaki *tytuł* ma ta książka – mówię, mijając znak z nazwą miasteczka i wjeżdżając w ciemne przedmieścia.

– Jak tytuł ma ta książka? – powtarza, przygryzając dolną wargę.

– Dokładnie tak. Jaki tytuł ma ten gorący romans, którego tak zaciekle bronisz? – Spoglądam na nią, odliczając upływające sekundy. – No co jest? Ten erotyczny tytuł odjął ci mowę?

Ivy krzywi się nieznacznie.

– Nie... Chodzi o to, że tytuł nie brzmi zbyt romantycznie.

Czuję się zaintrygowany.

Pomimo panującego wokół mroku widzę, jak spuszcza wzrok na panokcie, jakby rozpaczliwe potrzebowały jej uwagi.

– No dalej, Kłopotcie. Jak nazywa się ta książka? – pytam ponownie.

Ivy wzdycha ciężko i wbija wzrok w szybę.

– *Plugawi władcy grzechu* – szepcze prawie niesłyszalnie.

Kiwam głową.

– Ach, no tak, mój błąd. Przecież to brzmi w chuj romantycznie.

Ivy prycha, ale nie mówi nic więcej i nie odrywa też wzroku od szyby.

No i dziękuję, kurwa, nie mam więcej pytań.

Nie dręcę jej już jednak, tylko przełączam na stację radiową, a z głośników płynie głos Coltera Walla. Gdy oswajam się z panującą między nami ciszą, Ivy znów się odzywa, bo przecież ta kobieta nie potrafi zbyt długo usiedzieć w ciszy.

– Piękne były te zaręczyny, prawda? Nash i CeCe są taką słodką parą. Wiem, że jestem tu od niedawna, ale naprawdę polubiłam twoją rodzinę. Wszyscy są tacy mili.

– Ta, są świetni – rzucam, co brzmi dużo bardziej sarkastycznie, niż planowałem, dlatego dodaję: – Nie sądziłem, że Nash w końcu się ustatkuje.

Ten facet od przeszło dwudziestu lat jest moim najlepszym przyjacielem, a niedługo zostanie też moim szwagrem. Kiedy latem dowiedziałem się, że w tajemnicy spotyka się z CeCe, byłem, delikatnie mówiąc, zaskoczony. Ale gdy jakoś to przetrawiłem i zdałem sobie sprawę,

że jego intencje są szczerze, wiedziałem, że idealnie do siebie pasują. I mimo że ich ciągle migdalenie się sprawia, że zbiera mi się na wymioty, cieszę się, że Nash i moja siostrzyczka są szczęśliwi i być może zdejmą tę cholerną kłatwę Ashbych, przez którą każde z naszej trójki nie miało zbyt dużo szczęścia, jeśli chodzi o związki.

– Ale jest jedna rzecz, która nie daje mi spokoju, i muszę o nią zapytać, więc wybaczone, jeśli zabrzmi to zbyt personalnie – ciągnie Ivy.

No i masz, kurwa, babo placek.

– Nie bawię się w takie rzeczy – rzucam.

– Serio? – Jej głos ocieka sarkazmem. – Obiecuję, że nie będzie to nic nieprzyjemnego. Po prostu jestem ciekawa. – Milczę, co uznaje chyba za zgodę, więc mówi: – Nie bardzo orientuję się w historii twojej rodziny, mógłbyś mi ją przybliżyć?

Zerkam na nią, nie mając bladego pojęcia, do czego właśnie pije.

– Chodzi mi o to, że oni wszyscy są tacy mili, otwarci i wyglądają na całkiem szczęśliwych, dlatego zastanawiam się, czy nie byłeś przypadkiem adoptowany. A może dorastałeś w innym domu, co? Bo zachowujesz się jak jakiś zaginiony brat, który wciąż żywi urazę do świata.

Odwracam głowę, by na nią spojrzeć. W jej fiołkowych oczach migoczą kłopoty, po których otrzymała swoje przezwisko. Czuję, że z każdą sekundą moje brwi ściągają się coraz bardziej, gdy Ivy pokłada się ze śmiechu ze swojego średnio śmiesznego żartu.

– No bo... Czy twoja twarz potrafi wyrażać jakieś inne emocje poza ciągłym fochem? – zastanawia się, gdy wjeżdżam na podjazd prowadzący do Srebrzystych Sosen, mojego rodzinnego rancza i centrum treningowego koni. Mojego domu. Mojej odpowiedzialności.

Mijam swoją chatkę, jadąc starą szutrową drogą, by podwieźć Ivy pod jej domek. Ze wszystkich pięciu dostępnych dla pracowników chattek wybrała tę o nazwie Blue Eyes. Tę najbliższą mojej. I mimo że mogła wybrać każdą, którą tylko chciała, zdecydowała się na tę z dwóch powodów, o czym nie omieszkała mnie oczywiście poinformować. Po pierwsze, bo ma niebieskie oczy, co moim zdaniem jest dużym niedopowiedzeniem, bo jej oczy są tak niebieskie, że momentami wydają się

wręcz fiołkowe, niczym niebo w mroźny, bezchmurny dzień... Czy coś w tym stylu.

A po drugie, bo taras Blue Eyes wychodzi na północny las, co, jak twierdzi, zapewnia jej prywatność, którą sobie ceni.

Chodzi pewnie o to, że może się tam do woli zaczytywać w swoich erotycznych romansidłach.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – oznajmia, zerkając na mnie z uśmiechem. – Dzięki za podwózkę, Kapitanie Radość. Świetnie się dziś bawiłam... No, może pomijając ostatnie piętnaście minut.

Odpowiadam jej jedynie burknięciem, po czym wysiadam z auta i obchodzę je, żeby pomóc jej wysiąść. Ivy zdejmuje moją marynarkę, odsłaniając zgrabną sylwetkę, i mi ją podaje.

– Już się rozgrzałam, dzięki – rzuca, gdy ją od niej odbieram i wręczam jej kluczyki do auta.

To, jak nad nią góruję, dość bardzo rzuca się w oczy, gdy stoję zaledwie kilka centymetrów od niej. Nawet w szpilkach ledwo sięga mi do ramienia. Czekam, aż ruszy do siebie, ale zamiast tego słyszę, jak mamrocze coś, że nie wytrzyma już ani sekundy dłużej, po czym nieporadnie zaczyna ściągać czarne szpilki, stojąc na trawie.

– Och... Jak przyjemnie – mruczy, co sprawia, że z *trudem* przełykam ślinę. – Cały wieczór chciałam to zrobić – dodaje, chichocząc niewinnie, gdy zrzuca drugi but i momentalnie odejmuje sobie kilka dodatkowych centymetrów. Podnosi głowę, by obdarzyć mnie szerokim uśmiechem.

Odwracam wzrok, próbując pozbyć się z głowy tych wszystkich dźwięków, które z siebie wydaje, a ona nie przestaje mrużyć pod nosem o tym, jak cudownie jest czuć trawę pod stopami, jak przyjemnie ją to uziemia, podczas gdy ja wskazuję gestem na drzwi od jej chatki. Spogląda w ich stronę, a potem rzuca mi spojrzenie, które zdaje się mówić coś w stylu: „Poważnie?”.

– Chyba dam sobie radę, szefie. Możesz już wracać do domu. W końcu z twojego ganku widać mój. – Macha ręką w stronę mojej chatki, oddalonej o jakieś pięćdziesiąt metrów.

Kręcę głową.

– Pójdę do siebie, gdy będziesz już bezpieczna w środku.

Wybuchła tak gwałtownym śmiechem, że aż odchyła głowę do tyłu, po czym rusza w stronę drzwi.

– To było naprawdę dobre – rzuca przez ramię. – Ale jestem dużą dziewczynką i to, że wypilałam kilka drinków, nie znaczy, że nie zdołam o własnych siłach dojść do domu. – Klepie swoją torebkę. – W razie czego mam gaz na niedźwiedzie.

Nie, no jasne, pewnie, że ma przy sobie gaz na niedźwiedzie. Chociaż założę się, że w ogóle by jej się nie przydał, bo gdyby spotkała niedźwiedzia, pewnie tak by się zaprzyjaźnili, że mogłaby go karmić z tarasu.

– Dobranoc, szefie, do zobaczenia o świcie – ćwierka radośnie i zamyka za sobą drzwi, a ja stoję na jej ganku i kręcę głową, nie dowierzając w to, jak szaloną kobietą jest ta cała Ivy Spencer.

Przerzucam sobie marynarkę przez ramię i ruszam do swojej chatki, do Bluegrass.

To największy z domków, choć nie tak duży jak mój dom rodzinny, duży dom. Moja chatka to tak zwana chatka szefa, jedyna z dwiema sypialniami i dwiema łazienkami. W końcu udało mi się urządzić ją po swojemu po tym, jak wróciłem do niej po rozwodzie. Większość prac przy remoncie kuchni zrobiłem sam, z niewielką pomocą Cole’a.

Wchodzę do środka i włączam światło. Wzdycham z ulgą. To moje miejsce. Ciemne, drewniane ściany, podłogi z surowego drewna, wszystko ma ten charakterystyczny rustykalny klimat. Wciąż unosi się tu słaby zapach skóry i tytoniu po poprzednich lokatorach. Niewielka kuchnia wyposażona jest w nowe szafki z drewna orzechowego i urządzenia ze stali nierdzewnej.

Po lewej znajduje się przestronny salon z kamiennym kominkiem sięgającym sufitu i wielkimi oknami wychodzącymi na duży dom oraz widoczne w oddali stajnie. To idealne miejsce, żeby usiąść wieczorem ze szklaneczką whisky i posłuchać ulubionych płyt winylowych. To także jedyne miejsce, w którym nie muszę nikim kierować, martwić się ranczem, moją starzejącą się mamą, próbami dorównania ojcu, Janelle ani przeszłością.

To moja przestrzeń, w której mogę być po prostu Wade'em, cokolwiek to, kurwa, teraz znaczy. Trudno znaleźć czas na autorefleksję, gdy ma się na barkach całe ranczo i presję przyszłorocznych derbów.

Rozwiązuję krawat i ściągam te piekielnie niewygodne buty. W myślach układam już plan na jutro, kiedy coś lekkiego upada mi na stopę. Odwieszam marynarkę, schylam się i podnoszę to coś z podłogi.

Ivy miała na sobie moją marynarkę może z dwadzieścia minut, a ja i tak przytykam materiał do nosa, by zaciągnąć się tym słodkim zapachem, który po sobie zostawiła. Jest *kurewsko* rozkoszny. Odruchowo wrzucam czarną satynową frotkę do koszyczka na lodówce i ruszam pod prysznic.

Znalezione, nie kradzione.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Na tym ranczu emocje galopują szybciej niż konie!

Pełna koszmarów przeszłość jest już za nią. Teraz Ivy Spencer emanuje kobiecą siłą: kruczoczarne włosy, karmazynowe usta i oczy pełne ognia. Praca na ranczu Srebrzyste Sosny to dla niej nowy początek i spełnienie marzenia o trenowaniu rasowych koni – przyszłych zwycięzców prestiżowych gonitw stanu Kentucky. Jej metody treningowe są rewelacyjne.

Docenia je nawet szef, Wade Ashby, najbardziej zrzędlawy
(i najprzystojniejszy) mężczyzna na południu Stanów.

Wade wciąż nosi w sercu ból po stracie ojca i za wszelką cenę pragnie kontynuować jego dziedzictwo. Chce przygotować konia do startu w Kentucky Derby, najważniejszym wyścigu stanu. A do tego potrzebuje najlepszej trenerki. Problem w tym, że Ivy go irytuje. Byłoby lepiej, gdyby trzymali się na dystans, ale to niemożliwe. Muszą współpracować. A tam, gdzie emocjonalnie iskrzy od pierwszego dnia, eksplozja jest nieunikniona.

Zanim jednak pozwolą sobie na uczucie, będą musieli przejść
najtrudniejszy trening. Trening zaufania.

• CUTE
•• SENSUAL
••• SPICY
•••• DARK

**editio
Rep**
EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-2188-7



9 788328 921887

cen. 49,90 zł